



ODRODZENIE

TYGODNIK

Kakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 23 maja 1948 r.

Nr 21 (182)

LEON KRUCZKOWSKI

FINALE BERLINA

1. Było to pod koniec lata 1941, za drzwiami Oflagu II B. Jedech z kolegów - jenców nabył w kantynie (prowadzonej przez felfelbla, partyjnego nitlerowca) jakiś drobiazg z galanterii skórzanej, portmonekę czy portfel, coś w tym rodzaju. Przykniósł ten nabytek na salę i przy dotknięciu oglądających znalazł w jednej z licznych skrytek i prześrodek kartkę papieru wielkości biletu tramwajowego. Na kartce znajomym ówkiem wypisane były cztery zdania:

„Nieder mit dem Nationalsozialismus“
„Es lebe Freiheit“
„Nieder mit dem Krieg“
„Es lebe Kommunismus“

Miałem przez chwilę w ręce ten świstek papieru i odczytywałem jego treść kilkakrotnie z uczuciem i wzruszenia, i żałowaniem. Nieznana ręka, prawdopodobnie robotnika lub robotnicy w jakiejś niemieckiej fabryczce galanterijnej, ręka, która — może z narażeniem życia — napisała te cztery krótkie zdania, zamazała je na chwilę jak ręka człowieka tonącego — nad falami rozszalałej rzeki. Przypominam, było to pod koniec lata 1941! Właśnie padł Smoleńsk czy bodaj już Wiazma i Briansk. Komunikaty Wehrmachtu mówiły o ostatecznym złamaniu sił obronnych Związku Radzieckiego. Ludy Europy w trzymywały oddech od grozy, a naród niemiecki oszalał ostatecznie w entuzjastycznym dla Hitlera Naród, który — wedle wiarogodnych relacji — w ostatnich godzinach sierpnia 1939 z niedowierzaniem pełnym troski i utajonego lęku przyglądał się ruszającej na Polskę maszyni wojennej Trzeciej Rzeszy. W dwa lata później, mając już za sobą serię oszalałych zwycięstw, wyrzucił się ostatecznie wszelkich hamulców. Pewno, czy rozważał i wierzył bez zastrzeżeń nie tylko w geniusz „Führera”, ale i w swoją własną, bajecką, na tysiąc lat zapowiedzianą karierę historyczną. Nieznana ręka, która — w tych warunkach — gdzieś tam ukradkiem wsunęła świstek papieru z czterema nagryzionymi zdaniem w skrytkę tandetnego portfela, była ręką człowieka samotnego lub prawie samotnego w swoim społeczeństwie. Te cztery zdania zabrzmiły mi wówczas jak przejmujący szepot z katakumb, z takich podziemi ostatecznej, zdawało się, bezdziejności i zatrafi, w jakich chyba nigdy jeszcze i w żadnym kraju nie pogrzebano wolnej myśli wolnego człowieka.

W trzech czwartych Europy konspirowano wówczas przeciw jarzmu, przeciw Niemcom, przeciw szalejącemu systemowi niekończącej się zbrodni. Ale konspiratorzy w Polsce, w Związku Radzieckim, we Francji czy Jugosławii czuli za sobą potężne zaplecze milionowych mas ludności swoich krajów; ich mową codzienną był huk wysadzanych mostów i pociągów wojskowych, ogniem prążący wroga język partyzantów i bojowców. Antyfaszysta — Niemiec skazyany był na własne jedynie, wewnętrzne siły, szczerze izolowany w swym środowisku narodowym miał oparcie tylko w samym sobie. Jego mowa była tragicznym szepcącym, jego działalność sprządała się do dawania światu nikłych znaków z samego dna topieli: Jestem. Trwam. Wierzę.

2. Opisane wyżej zdarzenie z lat obozowych ożyło w mojej pamięci ostatnio, podczas paru dni spędzonych na ogromnym, 700-stronicowym tomem powieści Heinza Reina „Finale Berlin”. Ta niedawno wydana w Berlinie książka jest relacją o ostatnich trzech tygodniach życia, a raczej agonii, stolicy „Trzeciej Rzeszy”. Jej akcja trwa od 14 kwietnia do 2 maja 1945. Ale to daty, to tylko więź konstrukcyjna; właściwy zakres treściowy powieści Reina jest znacznie szerszy. Prowadzi w głąb duszy niemieckiej, w głąb małości wielkiego narodu.

Heinz Rein (pseudonim czy przydawkowy symbol?) jest, jeśli sędzić z jego książki, niemieckim antyfaszystą. Nic dziwnego, że na śmiertelne konwulsje hitlerysty każe nam w swej powieści patrzeć oczyma szczerpłej garstki konspirujących berlińskich antyhitlerowców. Poznaliśmy ich kilku, ludzi o różnych obliczach i różnym przynależności społecznej, o różnym przede wszystkim stopniu i rodzaju świadomości politycznej. Jedni — z bogatą przeszłością działaczy i bojowników, czynnych przeciwników narodowego socjalizmu jeszcze sprzed roku 1933; to w pierwszym rzędzie komunistów Wiegand, były poseł do Reichstagu, były więzień Oranienburga, od r. 1941 „nielegalny”; to, obok niego, lewy socjaldemokrata dr Böttcher; to

właściciel małej piwiarni przy Schlesischer Bahnhof, Oskar Klose, dobroduszy i wytrawny, o nielatwej do ugrzyżenia naturze doświadczony proletariusza; wszyscy trzej aktywni konspiratorzy, członkowie miniaturowej grupy oporu „Berolina”. Inni — raczej produkty rozpadu Trzeciej Rzeszy, rozbitkowie pękających naw, najuczciwsi, najodważniejsi czy może tylko najbardziej zmęczeni z wielomilionowej masy narodu, któremu po dniach zbrodniczego szaleństwa zaczyna zagładać w oczy groźny cień nadciągającej katastrofy; to przede wszystkim główna — jeśli chodzi o fabułę — postać powieści, Joachim Lassehn, 22-letni dezertjer z szeregów Wehrmachtu, naiwny politycznie i życiowo artysta - muzyk, szybko przestającający się pod wpływem ludzi i zdarzeń w czynnego bojowca - konspiratora.

„Sprawiedliwi z Sodomy”? Zapewne. Ale Heinz Rein bynajmniej nie po to ukazuje nam garstkę niemieckich antyhitlerowców, aby zbawić całą rzeszę, odkupić przez nich niezmiernie winy i zbrodnie narodu niemieckiego. Zbyt okrutna jest przede wszystkim dysproporcja między żałosną nielką, miligramową wagą działalności tych kilku ludzi a potwornym brzemieniem tamtych win i zbrodni. Co najważniejsze jednak, żadne zamysły „rehabilitacyjne” nie przyświecały autorowi, w każdym razie nie można ich wyśledzić w samym nurcie powieści. Przeciwnie, Rein stara się obnażyć całą muskulaturę psychiczną swojego narodu, wytopić w niej wszystkie elementy, które hitlerzy przyjął za punkt wyjścia dla swej potwornej szkoły wychowawczej: szkoły deprawacji i wynaturzenia. W polu widzenia Reina nawet cnoty niemieckie — słynne, tradycyjne cnoty tego społeczeństwa sentualnych mieszczuchów — nie miały być odrażające, jak składnik w piekielnym kokcie rasistowsko-nazistowskim. Ścisłe biorąc, właśnie one były tam składnikiem jednym z najgroźniejszych.

Nie, ta garstka „sprawiedliwych”, której losy śledzimy, dzień po dniu, w powieści Reina nie rehabilituje nikogo. Jest to garstka ludzi samotnych — to może których z nich właśnie dawał światu w r. 1941 szczerze znaki z dna topieli, przemycane w skrytkach galanterii skórzanej karteczki z antyfaszystowskimi hasłami? Tylko że wtedy można było przynajmniej w pewnym stopniu pojąć ich samotność. Niepójcie jest dopiero to, co przedstawia Rein w swej powieści: ci ludzie są niemal równie samotni w kwietniu 1945, w płonącym i walącym się w gruzy Berlinie! Zachowanie się społeczeństwa niemieckiego w przededniu upadku Hitlera jest niewątpliwie jedną z największych zagadek psychosocjologicznych, jakie zna historia. „Finale Berlin” Reina przybliża nas o kilka dobrych kroków do rozwiązania tej zagadki.

3. Naprzód nieco o ludziach i zdarzeniach: trochę fabuły. Nas, którzyśmy przez pięć lat byli „Nebenlandem” Trzeciej Rzeszy, „ludnością nie-niemiecką” Generalnej Guberni, albo więźniami niezliczonych „lagrów”, interesuje w książce Reina nie tylko klucz do tajemników psychologii hitlerysty. Zaciekawia nas w niej również — jak to tam było wtedy, „u nich”, jak „oni” przeżywali te ostatnie dni, co „oni” myśleli i czuli, kiedy Berlin walił się im na głowy — nie tylko jako miasto, ale zarazem jako symbol niemieckiego zła?

14 kwietnia 1945, kiedy zaczyna się akcja powieści, ten Berlin jest już miastem śmiertelnie okaleczonym. Na jego niebie panuje bezlitosnie i bezwarunkowo lotnictwo sojuszników, dzienne i nocne bombardowania są od wielu tygodni tak systematyczne, że regulują tryb życia mieszkańców o wiele skuteczniej niż zegary. To „życie” upływa głównie w schronach i piwnicach. Sparaliżowana sieć komunikacyjna miasta dogorywa. Płoną i wala się dworce, fabryki i całe dzielnice. Zamiera gaz i elektryczność, zawadza wodociąg. Nie zawodzi — wciąż jeszcze — tylko jedno: system, straszliwy system hitlerowskiego szaleństwa. W dzungli zamierającego miasta roją się, jak złe szcury, rozbiegane oczy kanalii partyjnej, SS-mańskiej, gestapowskiej... Te oczy są zresztą raczej nieodzwonnym składnikiem hitlerowskiego pejzażu, niż mają jakieś praktyczne znaczenie; zbyt rzadko znajdują okazję do interwencji. Nie dlatego żeby nie były dostatecznie czujne, tylko po prostu dlatego że wśród trzymilionowej ludności miasta aktywni przeciwnicy upadającego zbrodniczego systemu

wciąż jeszcze należą do rzadkich wyjątków!

Właśnie w ustronnej knajpce jednego z takich, starego Oskara Klose, zjawia się — na łyk podłego piwa — dezertjer Joachim Lassehn. Opuścił swój oddział podczas walk odwrotowych na Dolnym Śląsku. Czy chciał w ten sposób ratować swoje życie? — chyba nie, odkąd dezertrował, naraża je codziennie i co go-



Niemcy powojenne: typowa ulica berlińska

dzina, może niebezpieczniej niż na froncie. Po prostu bliskość Berlina zniewoliła go jak potężny magnes. Trudno było dezertrować znaną drogą i wynaturzenia. W polu widzenia Reina nawet cnoty niemieckie — słynne, tradycyjne cnoty tego społeczeństwa sentualnych mieszczuchów — nie miały być odrażające, jak składnik w piekielnym kokcie rasistowsko-nazistowskim. Ścisłe biorąc, właśnie one były tam składnikiem jednym z najgroźniejszych.



Niemcy powojenne: Zbieranie niedopalków

ta jeszcze imię, panięskie nazwisko i — mniej więcej — adres. A jednak, w potężnym magnesie Berlina to ona przede wszystkim, Irma, była tą zniewalającą siłą, która z żołnierza Lassehna zrobiła dezertera. Miłość, tkliwość, czułość — tym tylko warto żyć, za tym tęsknił jak po ciepłej w kopcach i w marszach, w całej obrydlivosti tej wojny, której od początku nienawidził. Musi odszukać Irme, mówić z nią...

Stary Klose jednym rzutem wytrawnego oka przenika i ocenia takich jak Lassehn Łódziodobów. Prawde mówiąc, poluje na takich: ma dla nich różne pozytywne, choć ryzykowne zajęcia, na przykład kolportowanie ulotek... Knajpa Klosego i ustronne przy niej mieszkanie z dobrze zamaskowaną piwnicą jest punktem spotkań paru interesujących ludzi. Lassehn przy całej swej politycznej i życiowej naiwności nie może i nie powinien chodzić luzem za swoimi jedynie sprawami. Ostatecznie, jako dezertjer i tak nie ma już nic do stracenia. W oparciu o kil-

ku porządnych, doświadczonych i odważnych ludzi ma nawet większe szanse przetrwania nadciągającego ostatniego aktu katastrofy.

W ten sposób w knajpce Klosego los Lassehna spręga się z losami garstki berlińskich konspiratorów-antyfaszystów. Młody muzyk przechodzi przy nich skróty kurs politycznego alfabetu, przede wszystkim jednak uczy się — działać. Sy-

tuacja wymaga bowiem aktywności, okazje do szybkich, zdecydowanych czynów przychodzą jedna po drugiej, zmusza do nich sam instynkt obrony. Dwa razy w ciągu paru dni Lassehn robi użytek z pistoletu, z którym się nie rozstał od chwili ucieczki z frontu — dwa razy ratując siebie i otaczający przed sobą pewną grupę. Za trzecim razem ratuje tylko siebie terroryzując bronią Irme Lassehn, swoją osmiódniową żonę, która chce wydać go policji jako dezertera! Ten „małżeński” watek książki Reina, dopełniony drugą jeszcze erotyczną przygodą Lassehna, w której nocne bombardowanie miasta zaprawia akt miłosny jakąś zupełnie nihilistyczną perwersją, obnaża nam znane gaszcze obyczajowości życia niemieckiego w latach wojny — spraw, w których najdosadniej może dostrzedł do głosu jakiś zaiste owadzi styl egzystencji narodu, od paru pokoleń uczące się na pamięć stracił „Helmata i Doroty”.

A szkoda, bo skądinąd Heinz Rein jest pisarzem rozumiejącym rolę i znaczenie epizodu. Cała jego powieść zbudowana jest, nawet jeśli chodzi o losy głównych postaci — właśnie z epizodów, scen i sekwencji zawiera nawet osobne duże rozdziały jakby na marginesie samego tłu powieściowego. Tego rodzaju konstrukcja wynika dość naturalnie z tematu. Życie mieszkańców Berlina w drugiej połowie kwietnia 1945 istotnie było już tylko grą epizodów i fragmentów, nie poważających żadnym rytmem, żadną logiką — prócz bezlitosnej logiki dokonywającej się katastrofy. Obraz tej katastrofy znalazł dotąd „jednostronnie”, z relacji radzieckich i polskich uczestników „bitwy o Berlin”, z relacji zwycięzców, egzekturow historycznego wyroku Z książki Reina obraz ten wyłania się „od wewnątrz”, odbity w oczach i mózgach garstki ludzi, dla których katastrofa ich narodu była — wyzwoleniem: garstki niemieckich antyfaszystów, o których autor pisze, że czekali na to wyzwolenie „z bolesną tęsknotą, gdyż nie byli w stanie wyzwolić się własnymi siłami”...

I powiedzmy to sobie otwarcie: jak tamten pierwszy obraz — trzy lata temu — napelniał nas poczuciem ziszczającej się sprawiedliwości moralnego triumfu dobra nad złem, tak ten drugi, z „Finale Berlin”, nie wywołuje jakoś naszego współczucia. Kto wie, czy to nie największe może przestępstwo hitlerysty, że nie jesteśmy w stanie współczuća tego w sobie wzbudzić: największe przestępstwo w stosunku zarówno do Niemców jak i — do nas wszystkich...

5. Ale, jak już wzmiankowałem, ani wtki fabuły, ani gra dramatycznych epizodów, ani nawet samo piekielne widowisko walącego się Berlina nie są jeszcze tym, czego w książce Reina szukamy z największą uwagą. Napiecie tej uwagi wzdarsz wszędzie tam, gdzie autor nie tylko zaspokaja naszą ciekawość realiów historycznego zdarzenia, ale gdzie usiłuje ponadto dawać odpowiedzi na pewne głębiej niepokojące nas pytania. Kim są Niemcy? Jak to się działo, że mogli być tacy, jakich znaleźmy przez pięć i pół lat wojny i okupacji? Jak oni, jako zbiorowość, jako społeczeństwo, wyglądali u siebie „w domu”, jak się czuli i jak się zachowywali sami między sobą, kiedy nie patrzyli na nich nasze oczy?

Na wszystkie tego rodzaju pytania powieść Reina przynosi niewątpliwie szereg odpowiedzi. Nie tyle może bezpośrednio, w formie gotowych autorskich analiz i komentarzy, ile głównie w postaci mnóstwa materiału „faktycznego” w ten sposób podanego, że wnioski cisną się i tłoczą same.

Oto np. pierwsza z brzegu scena uliczna, z dnia 21 kwietnia. Z bramy domu wyciągnięto dezertera. Trzej SS-mani rozglądają się, szukając nieuszkodzonej jeszcze latarni, która mogłaby zastąpić szubienicę. Grupa przechodniów obserwuje w milcz-

ku ich zabiegi. Ale w tłumie zjawia się nagle matka delikwenta. Chce wyblagać łtósę dla syna, wytłumaczyć go, uniewinnić, a przynajmniej towarzyszyć mu do końca. Jeden z oprawców wcale nie ukrywając tego co stanne się za chwilę, odpęda starą kobietę, każe jej wracać natychmiast do domu. I ta niemiecka matka po prostu odchodzi, tłum przechodniów rozstępuje się przed nią, odprowadza ją wzrkiem do bramy, po czym spokojnie przygląda się wieszaniu dezertera na stupie przystanku tramwajowego.

Nie, to nie strach przed SS-manami sprawił, że ta nieszczęsną matka odchodziła tak posłusznie, zamast skoczyć zbirom do garda; to nie strach przed SS-manami ani patriotyczne poczucie służności ich postępowania z dezertrem paraliżuje przegrydnym widzów egzekucji. Oni wszyscy widzą co się dzieje, widzą absurdalność i zbrodnicość dalszej walki, słowo „Scheiss” jest najbardziej potocznym określeniem w ustach „normalnego” Niemca, kiedy mówi o tych sprawach. Nie, to działała w każdym z tych ludzi, w każdym z tych Niemców, lęk przed samym sobą, przed własnym ludzkiem odruchem, przed możliwością zrobienia czegoś — źle czy dobrze — na własną rękę i własną odpowiedzialność. To działa ten sam strach przed możliwością własnej odwagi której mędyndziej sprawa np. ze starym oficerem policji miejskiej Klepertz bezradnie assiste przy tym, jak jego szef, szczeniak z gestapo (którego zresztą nienawidzi), pastwi się nad uroczą, bezbronną Lucie Wiegand w jej własnym mieszkaniu — w okolicznościach, w których on, Klepertz, mógłby na dobrą sprawę zastrzelić oprawcę jak psa, bez żadnych dla siebie konsekwencji... W powieści Reina jest więcej takich scen, w których zupełnie już nie ma obliwu ostatecznej klęski automatyzm działania hitlerowskiego aparatu władzy uderza na chybił trafił we własne społeczeństwo bez jakiegokolwiek bodaj próby z jego strony — przeciwstawiania się temu terrorowi szaleństwa. Pomijam tu działalność garstki konspiratorów, chodzi mi o postawę „człowieka z ulicy”, zwykłych przechodniów, tłum berlińskiego.

Prawda, jest wypadek konduktora tramwajowego Eckerta. Jedyny wypadek, kiedy „zwyčajny” berlińczyk porusza się czynnie na przedstawiciela władzy, zresztą akurat Bęgu ducha winnego posterunkowego najmniej skądinąd „Ordnungspolizei”. Ale konduktor tramwajowy Eckert po prostu — oszalał. Przez dwie doby szukał trupów żony i córki w zbombardowanej, płonącej dzielnicy, dwaj posterunkowi znaleźli go tam w stanie graficznym z obłądkiem i bardzo grzecznie wprowadzili z dzielnicy grozy. Przy pogębaniu jeden z nich zupełnie mechanicznie użył formułki „Heil Hitler” — i to zamroczyło już ostatecznie mózg nieszczęsnego tramwajarza: w ataku furii Eckert rzuca się na policjanta, powala go i zaczyna dusić. Kolega duszonego celnym strzałem w skroń szaleńca likwiduje ostatecznie ten niebyswały wypadek.

Nie, jakaś, niedostępna chyba dla nie-Niemca, ponura logika w tym mechanizmie pojęć, wedle którego tylko szaleńca zdolny jest do czynnego przeciwstawiania się terrorowi zorganizowanego szaleństwa, systemowi ślepej zbrodni — nawet jeśli ten system i ta organizacja rozpada się już pod ciężarem sił wolnych narodów! Jest w tym coś, co znieważa nasze poczucie obowiązku walki ze złem bez względu na koszty — i coś, co głęboko zasmuca.

Nie, „finale” hitlerowskiego Berlina nie miało w sobie nie patetycznego. Z książki Reina wyłania się ocarta z wszystkich masek twarz narodu, zdolnego do wszystkich zbrodni oprócz jednej: prócz „zbrodni” buntu przeciw własnej naturze, zmagania się z samym sobą, walki z własnymi instynktami zła i z własnymi ołtropnymi cnotami.

Los garstki „sprawiedliwych”, los komunistów Wieganda i jego kilku przyjaciół, wynurza się z piwnicznych mroków na światło dnia i przełamuje się jak chleb w uścisną rękę młodego żołnierza radzieckiego, którego Wiegand pozdrawia słowem: „towariszcz”... Takie jest zakończenie ostatniego rozdziału powieści Reina. Ale my, myśląc z szacunkiem o samotnym długoletnim mścicielu i harcie duchowym Wiegandów, zamykamy „Finale Berlin” bez radosnego uczucia triumfu. Jeśli ta książka wzbogaciła naszą i tak już ogromną, bolesną wiedzę o narodzie niemieckim, to wzbogaciła ją o rozdziały, pogłębiające jeszcze naszą troskę

Leon Kruczkowski

